

- Autor: **Wojewoda Marek**
- Tytuł: **Spadek mecenasa Jokiela**
- Wydawnictwo: Śląsk
- Seria: z Krukiem
- Rok wydania: 1985
- Nakład: 50300
- Recenzent: [Ewa Helleńska](#)
- Recenzja: 37/2011



CIEŻKI LOS ADWOKATA W CZASACH SOCJALIZMU

Dorobek naszych rodzimych autorów kryminałów bywa różny. Niektórzy pisarze, tacy jak Jerzy Edigey, Zygmunt Zeydler Zborowski czy Anna Kłodzińska, napisali bardzo wiele utworów i oczywiście ich twórczość jest dość powszechnie znana. Jeśli nawet niektóre ich powieści są trudniej dostępne (np. jakieś gazeciaki sprzed wielu lat), to i tak większość ich kryminałów zna każdy miłośnik tego rodzaju literatury. Są jednak i tacy "kryminaliści", których dorobek jest niewielki, i o tych zwykle rzadziej sobie przypominamy, nawet jeśli ich dzieła są ciekawe, oryginalne i na zapomnienie nie zasługują. Do takich mniej znanych i trochę zapomnianych autorów należy Marek Wojewoda, twórca książek "Romans mecenasa Jokiela" i "Spadek mecenasa Jokiela". Nie są to typowe milicyjniaki, ponieważ milicjanci pojawiają się w nich na drugim planie, zaś centralną postacią jest młody adwokat, Maurycy Jokiel.

Akcja "Spadku mecenasa Jokiela" toczy się w 1979 roku, a więc w epoce bardzo schyłkowego Gierka. Na samym początku mecenas przyjeżdża swym wytwornym samochodem pod tytułem fiat 126 na ulicę Podleśną.

"Tym razem Jokiel przybywał na ulicę Podleśną wezwany pilnym telefonem docenta

Kazimierza Stefańskiego, przedstawiciela rodziny znanych w mieście agresywnych dorobkiewiczów, którzy prawem i lewem w ciągu kilku pokoleń zdołali zapewnić sobie standard życiowy znacznie korzystniejszy, niż cierpliwa egzystencja większości współrodaków. W N. dobrze było być Stefańskim lub kimś z sąsiedztwa. Siedziba rodu mieściła się w okazałej willi zaopatrzonej przez poprzednich właścicieli w alpejski ogródek, szczytkową arkadę i witraże w oknach. Czas powłókł mury srebrzystym bluszczem, tynki zmatowiały szlachetną patyną, przez co łatwiej było legitymować się przed wydziałem finansowym pozornie zapuszczoną rudera.

Wnętrze domu, do którego wszedł Jokiel, wygląda za to imponująco:

"Tak właśnie mały Jaś wyobrażał sobie dyskretny urok kapitalizmu; ciężką forszą zalatywało od dębowej boazerii na ścianach, rozłożystego żyrandola, mosiężnych klamek i puszystego dywanu pod nogami. Część pomieszczenia zajmowały schody na piętro o poręczach z zielonego marmuru i stopniach lśniących jak kostka masła."

Wiemy już, gdzie jesteśmy i czego można się spodziewać po mieszkańcach tego wytwornego domu. Wyjaśnijmy teraz, po co wezwano mecenasa Jokiel. Otóż w pokoju na piętrze umierał senior rodu, ojciec docenta, Jan Stefański, człowiek sędziwy i schorowany, a jednocześnie majątny. Lekarze dawali mu jeszcze miesiąc lub dwa miesiące życia. Starzec sporządził już testament, w którym rozdysponował swe liczne dobra pomiędzy członków rodziny. A majątek był gigantyczny -- masa pieniędzy, dzieła sztuki, kamienica czynszowa w mieście B. przy ulicy Satelitów Radzieckich, trzy parcele w Warszawie przy ulicy Badylarzy 11, 18 i 19 i parę innych drobiazgów. Ogromna część tej fortuny miała przypaść Marii Stefańskiej, córce Jana. Sęk w tym, że Maria zniknęła przed dwudziestu paru laty i nikt nie wiedział, co się z nią stało. Stary Jan Stefański zleca Jokielowi odnalezienie Marii, wierzy bowiem, że jego córka żyje. Czas nagli, jako że seniorowi nowobogackiego rodu zostało niewiele tygodni życia. Mecenasa ma miesiąc na wypełnienie swej misji, za którą ma otrzymać trzysta tysięcy złotych, pomniejszone o dziesięć tysięcy złotych za każdy dzień poszukiwań, który nie przyniósł oczekiwanego rezultatu. I jak tu odmówić? Jak się łatwo domyślać, pozostali członkowie rodziny Stefańskich nie są zainteresowani odnalezieniem Marii.

Maurycy Jokiel zabiera się do pracy dość ostro. Przede wszystkim postanawia dotrzeć do starych akt milicyjnych, z których mógłby się dowiedzieć, jakie okoliczności były związane z zaginięciem Marii i co w związku z tym ustaliła milicja. W tym celu mecenas udaje się do domu sierżanta-archiwisty, niejakiego Mieczysława Trąby. Pan Miecio to poczciwy człowiek, entomolog-hobbysta i facet, który w domu nie ma nic do powiedzenia, w domu bowiem rządzi małżonka.

"Do pokoju wtoczyła się jaśniejąca uśmiechem pani Magdalena. W ręku trzymała tacę z dwoma szklankami herbaty.

- Przed chwilą byłaś w szlafroku -- zdenerwował się małżonek.
- No wiesz, Mieciu!... -- obruszyła się Trąbowa, jakby nigdy nic takiego nie miała na sobie i przyglądała na brzuchu fałd czerwonej sukni, leżącej na niej jak sztandar na kielbasie."

W tym momencie pomyślałam sobie, że większość naszych autorów (tych rodzaju męskiego) kryminałów jakoś nie lubi kobiet. Ciekawe dlaczego?

Mikołaj Trąba zdobył niezbędne akta, ale z różnych przyczyn nie udostępnił ich Jokielowi w komendzie milicji. Panowie spotkali się w mieszkaniu pewnego znajomego mecenasa, które to mieszkanie znajdowało się bardzo blisko komendy. W oczekiwaniu za moment, gdy Maurycy zakończy przeglądanie dokumentów, Mikołaj nadużywał alkoholu ze zgniłego zachodu i przeglądał znalezione w mieszkaniu znajomego pornograficzne pisemko. I tu znajdziemy fragment, który przypomniał mi urok minionej epoki...

"- Ty wiesz... - w tok akcji ponownie włączył się Mieczysław Trąba -- nigdy nie spodziewałbym się, że trzech facetów może to robić z jedną kobietą... wyobraź sobie, cwani tacy... Jeden więc bierze [...] (art.2, pkt.10 Ustawy z dnia 31 lipca 1981 r.) - nalał sobie kolejną porcję dżinu i zrobił się jeszcze bardziej gadatliwy."

Tak, droga młodzieży, takie interwencje cenzury zdarzały się w minionej epoce i tak to wyglądało w praktyce. W dalszej części książki nie ma już takich wtęgotów, choć jest sporo tak zwanych momentów. Być może autor przekracza niekiedy trudną do uchwycenia granicę dobrego smaku, ale to już kwestia gustu.

Maurycy chwytą się bardzo różnych sposobów odnalezienia zaginionej Marii, przy czym owe sposoby nie zawsze są zgodne z prawem i ogólnie przyjętymi zasadami moralnymi. Czego jednak nie robi się dla pieniędzy, a te były mecenasowi bardzo potrzebne chociażby po to, by zdobyć wreszcie upragnione samodzielne mieszkanie, gdyż egzystencja w pokoju sublokatorskim stawała się z każdym dniem coraz większym koszmarem. Adwokat uprzytomnił sobie nagle, że nawet gdyby otrzymał całe obiecane trzysta tysięcy, to ta suma wystarczyłaby najwyżej na altankę na działce. Życie adwokata czasach socjalizmu wcale nie było łatwe. Już lepiej było otrzymać choćby część kamienicy przy ulicy Satelitów Radzieckich.

I jeszcze jedno. Czy wiecie, co to jest laminaria i do czego się to coś przydawało? Nie? To przeczytajcie "Spadek mecenasa Jokiela"